WOŁANIE

Nr. 29 (33)

Kraków, listopad 2003

SPIS TREŚCI:

1. Tatry lat dawnych: Na nowych drogach, cz.2 str. 3
Ryszard Wiktor Schramm

2. Górami pisane - Jak się Józek Smaś pojechał wysłuchać
Kazimierz-Przerwa Tetmajer str. 33

Od maja 1987 roku ukazały się 33 zeszyty Wołania

Opracowanie: Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, Oddział Kraków, Członek Wspierający TOPR.
Adres dla korespondencji: Andrzej Słota, 30-150 Kraków, Armii Krajowej 83/131.
Telefony: 012 638-01-54, **e-mail:** slota@ptt.org.pl
Lokal: Dom Kultury „Podgórze" ul. Krasickiego 18/20. Dyżury Towarzystwa odbywają się co dwa tygodnie we wtorki, w godzinach 18 - 19.30
Redaktor: Andrzej Słota, zespół redakcyjny: Barbara Morawska-Nowak, Maciej Mischke.
Wpłaty na rzecz Towarzystwa mogą być dokonywane na rachunek:

PTT, Oddział Kraków, PKO B.P. I Oddział Kraków 65-10202892-110020917

Emblemat na okładce rysowała Zofia Nowak
Skład komputerowy: Andrzej Słota
WOŁANIE jest także dostępne na naszej stronie internetowej pod adresem - http://www.ptt.org.pl w formacie PDF, html.

PL ISSN 0660-8679

Łamanie i druk zakończono: 15 listopada 2003

WOŁANIE

Magazyn dla członków Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego i członków wspierających TOPR

Tatry lat dawnych: Na nowych drogach - dokończenie

Wojna 1939 roku i okupacja niemiecka podcięły zupełnie rozwijający się pięknie alpinizm polski, który właśnie w przeddzień jej wybuchu osiągnął swój największy sukces – rekordową i tragiczną wyprawą himalajską – i podkopały bardzo mocno korzenie taternictwa. Warunki, cięższe jeszcze niż w reszcie okupowanego kraju, jakie zapanowały w Zakopanem i Tatrach z jednej strony, z drugiej zaś śmierć lub niewola wielu czynnych taterników sprawiły, że na parę lat Tatry niemal zupełnie opustoszały. Na północno-wschodniej ścianie Mnicha zawisła wielka, drewniana swastyka. Dopiero rok 1942 przynosi pewne ożywienie. Obok najwytrwalszych: Korosadowicza, Vogla i Orłowskiego pojawiają się również inni. Zostaje rozwiązanych parę pomniejszych problemów, a równocześnie zaś nad Morskim Okiem z najbardziej urwistych ścian zaczyna się rozlegać uporczywe stukanie młotków: to pracują „Pokutnicy".

Około roku 1930 pojawiła się w Krakowie grupka młodych taterników, dobrych sportowców, nie należących do żadnej z istniejących organizacji, która obok swego normalnego taternictwa związała całą swoją działalność z wapiennymi skałkami podkrakowskich dolinek i ich urwiste ścianki uczyniła celem swoich zdobyczy w wolnych godzinach oraz miejscem świetnych, całorocznych treningów wspinaczkowych. Trzon tej grupy stanowili Marian Paully, Kazimierz Paszucha, Czesław Łapiński i Adam Górka. Nazwą „Pokutników" ochrzciły ich wiejskie babiny, widzące ich nieraz rankiem lub o zmroku dążących ku skałom, obwieszonych linami i podzwaniających żelazem haków i młotków. Ich działalność taternicka rozwijała się nieco na uboczu od właściwego nurtu wielkich zdobyczy, dosyć wolno, lecz bardzo systematycznie, by poprzez tak piękne powtórzenie, jak przejście uskoku Wschodniego Szczytu Żelaznych Wrót lub drugie przejście całości (a pierwsze w ciągu jednej wyprawy) drogi Stanisławskiego na Małym Kieżmarskim, sięgnąć w latach poprzedzających wojnę do najwybitniejszych zdobyczy letnich i zimowych. Równocześnie w dolinkach na coraz trudniejszych ściankach rozgryzają samodzielnie i doskonalą technikę hakową, podciągową, która w okresie okupacji doprowadza ich do zaatakowania

Widok na Bielskie Tatry z mozolnego, zimowego podejścia, fot. Vilém Heckel

ścian, wobec których bezsilna była technika klasyczna, a nawet pierwociny podciągowe zakopiańczyków.

Po szczegółowej penetracji w lipcu 1942 roku Paszucha i Łapiński atakują odpierającą dotychczas wszystkie próby zdobycia górną część północno-wschodniej ściany Mnicha, stosując na przestrzeni kilkudziesięciu metrów po raz pierwszy w Tatrach w tak wielkiej skali technikę hakową, zdobywają tę ścianę prawą połacią. Przy

Taternik w pełnym rynsztunku do wspinaczki techniką hakową, czyli tak zwanym podciągiem. Widzimy tu specjalne wiązania liny na piersiach i sprzęt hakowy. fot. R. Łukasiewicz.

okazji popukali trochę z boku – i w niedługim czasie swastyka spadła. W dwa tygodnie później dodają do tego sukcesu drugi nie mniejszy – zdobycie środka północno-wschodniej ściany Kazalnicy, wiszącej wprost nad tonią Czarnego Stawu nad Morskim Okiem. W następnym roku ci sami taternicy zdobywają urwistą wschodnią ścianę mniejszego sąsiada Mnicha – Mniszka, a wreszcie w sierpniu przechodzą środek północnej ściany Galerii Gankowej drogą o ogromnych trudnościach, prostą jak strzała, rozwiązującą idealnie i definitywnie problem tej wspaniałej, najoryginalniejszej w Tatrach, pionowej, trzystumetrowej ściany.

Obok nich i inni taternicy zaczynają stosować technikę podciągu: wkrótce po zaawansowanej a spłukanej przez deszcze próbie Paszuchy i Łapińskiego Korosadowicz i Wicherkiewicz zdobywają środek północnej ściany Żabiej Turni Mięguszowieckiej.

Również i taternictwo zimowe okresu wojny jest skromne pod względem ilościowym, jednak i tu mamy do zanotowania zdobycz zupełnie pierwszorzędną, mianowicie wejście na Kozią Przełęcz Wyżnią wprost od północy dokonane 9 i 10 kwietnia 1944 roku przez Stanisława Siedleckiego i Jana Stryjeńskiego. I tu zastosowanie po raz pierwszy na większą skalę w zimie sztucznych ułatwień pozwoliło na przezwyciężenie trudności technicznych, stojących dotychczas poza praktyką taternictwa zimowego.

Pod koniec wojny, jesienią 1944 roku, ukrywa się na Wadze i w Dolinie Rumanowej przed represjami niemieckimi grupa taterników polskich, głównie krakowskich. Jeszcze i w tym czasie dokonują oni kilku ładnych pierwszych wejść w grupie Smoczego Szczytu i Szarpanych Turni.

*

Pierwsze lata po wojnie – to okres intensywnego odradzania się taternictwa polskiego i pod względem organizacyjnym i w terenie. Już w 1945 roku zostaje reaktywowany w Krakowie Klub Wysokogórski. Z przedwojennych taterników niewielu co prawda wraca do pełnej działalności: Tadeusz Orłowski, Paweł Vogel, ale już obok nich narasta nowe, wojenne i powojenne pokolenie. Przoduje tu zdecydowanie Kraków. Starzy „Pokutnicy" wprawdzie jakby się chwilowo nieco wyczerpali swoimi wielkimi sukcesami z okresu wojny, które stanowiły bez wątpienia nowy skok w rozwoju taternictwa, ale w solidnym treningu skałkowym i w Tatrach przygoto-

wali już dojrzałych następców i co roku kształcili nowych. Z okresu wojny już jako dojrzali taternicy wychodzą krakowianie; Adam Dobrowolski, Zbigniew Hegerle, Witold Ostrowski, Jerzy Piotrowski, Stanisław Worwa, a każdy sezon przynosi nową falę „pokutniczych" wychowanków. Równocześnie żywą działalność rozwija trójka młodych zakopiańczyków: Henryk Czarnocki, Józef Januszkowski i Jerzy Mitkiewicz.

Lata 1945-1950 są więc domeną przynajmniej pod względem ilościowym wojennego i powojennego pokolenia taterników krakowskich i nielicznych zakopiańskich. Tym wyraźniej odbija na tym tle działalność kilku dosłownie osób spoza tych środowisk, głównie stojącego u szczytu swojego rozwoju taternickiego Tadeusza Orłowskiego.

Sezon letni 1945 roku i zimowy 1945/46 siłą rzeczy są jeszcze bardzo słabe. Dopiero rok 1946 przynosi sukcesy na miarę przedwojennych: Czarnocki i Januszkowski wchodzą z Doliny Hlinskiej na Teriańską Przełęcz Niżną olbrzymim, dzikim kominem, atakowanym już przez Motykę, zaś Orłowski z towarzyszami rozwiązuje piękną drogą płytowy środek północnej ściany Żabiego Szczytu Wyżniego. Wspaniałym sukcesem niestarzejących się „Pokutników" staje się dokonane w dniach 15-20 lipca 1946 roku przez Górkę i Paszuchę pierwsze przejście grani Tatr Wysokich od Przełęczy pod Kopą do Liliowego. Problem ten był w okresie międzywojennym parokrotnie bezskutecznie atakowany przez wybitnych taterników, ale zawsze jego rozmiary i wszechstronne trudności wielkiej wyprawy stawały na przeszkodzie ukończeniu drogi. Najbardziej zaawansowana próba Staszla i Vogla w 1934 roku załamała się po 11 dniach na Rysach po przebyciu około 3/4 trasy.

„Problem był poważny – pisze Paszucha – Musimy przyznać, że zdawaliśmy sobie sprawę z wielkości przedsięwzięcia, trudu i wysiłku, ale zdawanie sobie sprawy z tego w domu, klubie czy schronisku jest jednak bardzo dalekie od rzeczywistości". Trud wyprawy wyrywa z ust temu niespożytych sił i wytrwałości taternikowi zbuntowany okrzyk:

„O grani, skończ się już wreszcie!"

Tak samo zima 1946/47 roku przynosi już wyniki dorównujące najlepszym osiągnięciom przedwojennym. Na terenie Tatr spotykają się teraz wybitni zimownicy przedwojenni z wychowankami „Klubu Wysokogórskiego Winterthur" w Szwajcarii i młodzieżą krakowską i zakopiańską, a ich już to współdziałanie, już to rywalizacja dają piękne wyniki. Jako pierwsza pada niemal niespodziewanie w dniach 3 i 4 kwietnia północna ściana Wysokiej, zdobyta przez przygotowujących się do wyprawy alpejskiej Witolda Ostrowskiego i Jerzego Piotrowskiego. 26 kwietnia pada kilkakrotnie już w tym sezonie atakowana zachodnia ściana Niżnych Rysów. Zdobywa ją dwójka wytrawnych alpinistów: Jerzy Hajdukiewicz i Jan Staszel.

Okres następny przynosi coraz większe ograniczenia ruchu wysokogórskiego, coraz większe jego niezrozumienie, a co za tym idzie przymusowe obniżenie jego lotów mimo dużego dopływu młodych sił.

Latem 1947 roku wyjeżdża jeszcze wprawdzie w grupę Mont Blanc wyprawa pod kierownictwem Stanisława Siedleckiego, odnosząc tam piękne sukcesy, nawiązujące do dobrych przedwojennych tradycji alpinizmu polskiego, ale już jej kontynuatorka – wyprawa w roku 1948, mająca wprowadzić w Alpy młodzież taternicką, mimo daleko posuniętych przygotowań nie dochodzi do skutku. Również zawiodła planowana wyprawa alpejska w roku 1949.

W Tatrach prawie całkowite wyczerpanie wielkich problemów sprowadza taternictwo z wolna do skrajnego już niemal konstruktywizmu. Tylko nieliczne jednostki potrafią jeszcze wyłowić tu i ówdzie nie tknięte czy nie rozwiązane właściwie urwiska. Cała działalność wysokogórska ogranicza się z roku na rok coraz bardziej do otoczenia Morskiego Oka i Hali Gąsienicowej. Przez szereg lat taternicy polscy nie dokonują żadnych wejść w Tatrach słowackich, a nawet rzadko odwiedzają szczyty graniczne.

Lato 1947 roku pod nieobecność najlepszych, bawiących w Alpach, jest dosyć słabe. Powojenna młodzież taternicka dopiero zaczyna się ruszać. Przejście wschodniej ściany Granatów przez Zbigniewa Abgarowicza i Ryszarda W. Schramma otworzy dopiero za parę lat wrota penetracji zapomnianej Dolinki Buczynowej. Sukcesy roku 1948 ograniczają się już niemal wyłącznie do otoczenia Morskiego Oka.

Pomimo wielkich utrudnień i zmniejszania się atrakcyjności taternictwa z roku na rok wzrasta dopływ młodzieży. Lata 1946-1948 wprowadzają w Tatry liczną gromadę wychowanków krakowskich, zaś w roku 1949 odżywa wreszcie po wojnie środowisko

warszawskie głównie dzięki staraniom Orłowskiego i Żuławskiego. Rok 1949 przynosi też jedyne w ciągu wielu lat zbiorowe wyjazdy w Tatry słowackie, na których młodzież ma możność poznania sławnych zdobyczy poprzedniego pokolenia. Wielkim osiągnięciem młodych staje się też w tym roku drugie przejście grani Tatr Wysokich, tym razem z zachodu na wschód, dokonane przez Karola Jakubowskiego i Zenona Węgrzynowicza.

W połowie sierpnia wybrali się też w Tatry słowackie, korzystając z paszportów, uczestnicy niedoszłej wyprawy alpejskiej Andrzej Nunberg i Jerzy Woźniak. Tymczasem 17 sierpnia pogoda popsuła się całkowicie: zimny deszcz przeszedł w kilkudniową śnieżycę, zawierucha szalała aż do podnóża gór. Do Zakopanego ściągnęli taternicy na walne zebranie Klubu Wysokogórskiego, na którym nieobecnego Nunberga wybrano sekretarzem Klubu. Dopiero w kilkanaście dni później zaniepokojeni brakiem wiadomości koledzy udali się do Doliny Kaczej i tam w kolebie znaleźli pozostawione rzeczy Nunberga i Woźniaka oraz kartkę z 17 sierpnia o zamierzonym wejściu wschodnią ścianą na Rumanowy Szczyt. Wielka wyprawa ratunkowa, przeszukująca ściany Rumanowej i Ganku, odnalazła zwłoki Woźniaka w żlebie spadającym z Gankowej Przełęczy. Po trzech dniach ogromnych wysiłków udało się ściągnąć je w dolinę. A dopiero w kilka tygodni później trzecia z kolei ekspedycja pogotowia wyżej, w kominie, w który przekształca się żleb pod samą Gankową Przełęczą, w głębokiej nyży odnalazła ciało Nunberga i cały sprzęt taternicki obu wspinaczy. Ile czasu, ile dni i nocy spędzili tam w szalejącej zamieci, przemoknięci i zmarznięci, głodni i wyczerpani, zanim zmarł Nunberg, a Woźniak, w ostatniej rozpaczliwej próbie ratowania się ruszył w tragiczną drogę w dół żlebem?

Lato 1950 roku znowu ogranicza się niemal wyłącznie do Morskiego Oka. Nic też dziwnego, że w doszczętnie schodzonym terenie coraz mniej znajduje się ciekawych problemów, a i te które są rozwiązywane, ani rozmiarami, ani trudnościami nie dorównują wielkim zdobyczom poprzednich okresów, ani nawet pierwszych powojennych sezonów.

Pewne ożywienie przynosi rok 1951. Dobrze zorganizowany obóz efemerycznej Sekcji Taternickiej Centralnego Wojskowego Klubu Sportowego oraz kursy dla zaawansowanych Sekcji Alpinizmu Pol-

skiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego, w którą przerodził się Klub Wysokogórski z chwilą likwidacji P.T.T., umożliwiły intensywniejsze uprawianie taternictwa szerokiej już czołówce. Rok ten przynosi sukcesy głównie w eksploatacji otoczenia Dolinki Buczynowej. Na pierwszym miejscu należy tu wymienić zdobycie czterystametrowej wschodniej ściany Buczynowej Strażnicy pięknym "Kominem Pokutników" przez Jakubowskiego i Nowickiego, a następnie wejścia potężnymi filarami wschodniej ściany Granatów na

W ścianie, fot. Vilém Heckel

Pośredni Granat i Zadni Granat. Najmłodsi: Andrzej Pietsch i Tadeusz Strumiłło przechodzą podciągiem przewieszony południowy filar Zamarłej Turni, rozgraniczający ściany południową i wschodnią. Równocześnie młodzież taternicka, dorastająca już w okresie pozbawionym wielkich problemów, zaczyna coraz bardziej stawiać sobie za cel powtarzanie wielkich, a przede wszystkim trudnych dróg („W okresie tym *odrabialiśmy* dzięki *Tatrom Wysokim* kolejno wszystkie drogi na Zamarłej" – pisze T. Strumiłło). W szczególności zaś młodzież ta zaczyna kierować swe zainteresowania ku niepowtórzonym dotychczas hakowym zdobyczom „Pokutników".

Wokół wojennych dróg Paszuchy i Łapińskiego narósł mit nie mniejszy chyba niż ongiś wokół Żabiego Konia, a mający znacznie dłużej trwać. Starsi poza „Pokutnikami" nie mieli dostatecznego obycia z techniką hakową do zaatakowania tych dróg, a na stylu chodzenia ważył, też na pewno wiele autorytet ich najwybitniejszego powojennego przedstawiciela Orłowskiego, zdecydowanego przeciwnika stosowania sztucznych ułatwień – młodsi zaś nie czuli się jeszcze na siłach.

„Ile razy – pisze Jaworowski – wypadało mi przechodzić koło Czarnego Stawu nad Morskim Okiem, zawsze doznawałem przykrego uczucia zawstydzenia i lęku, patrząc na wspaniałe urwisko Kazalnicy. Zawstydzenia, że nikt z młodszego pokolenia taterników nie zdobył się dotąd na powtórzenie jedynego przejścia środka ściany, lęku, który budził widok jej imponujących zerw."

Ale wreszcie po innych sukcesach przychodzi latem 1951 roku czas i na powtórzenia najtrudniejszych dróg lat 1939-1943. Pierwszego wyłomu dokonują Biel i Jaworowski, przechodząc w pięknym stylu drogę środkiem północno-wschodniej ściany Kazalnicy. Run na wielkie powtórzenia trwa przez całe lato 1952 roku. Coraz liczniejsze grono młodych taterników osiąga już górną granicę przedwojennych i wojennych trudności w skale.

Wreszcie sierpień 1953 roku przynosi rozwiązanie ostatnich większych problemów klasycznych w Tatrach polskich: wejście wprost od południowego-wschodu z Doliny Roztoki na Wołoszyńską Przełęcz Niżną, zamykające prowadzoną przez parę lat głównie przez Zbigniewa Bromowicza i Pawła Vogla eksploatację żlebów wołoszyńskich oraz przejście północnej ściany Hińczowych

Czub. Reszta stanowi już zupełnie szczątkowe, choć nieraz technicznie bardzo trudne problemy.

*

Lata powojenne, przynoszące coraz większy zastój taternictwu polskiemu, spowodowany głównie kompletną jego izolacją i zamknięciem na terenie niespełna trzech dolin, są równocześnie okresem wielkiego rozwoju taternictwa czeskiego i słowackiego.

W okresie wojny Czesi w ogóle nie mogli w Tatrach bywać, a i słowaccy taternicy pojawiali się zupełnie sporadycznie, toteż poważniejsze sukcesy w tym czasie należą po południowej stronie Tatr do

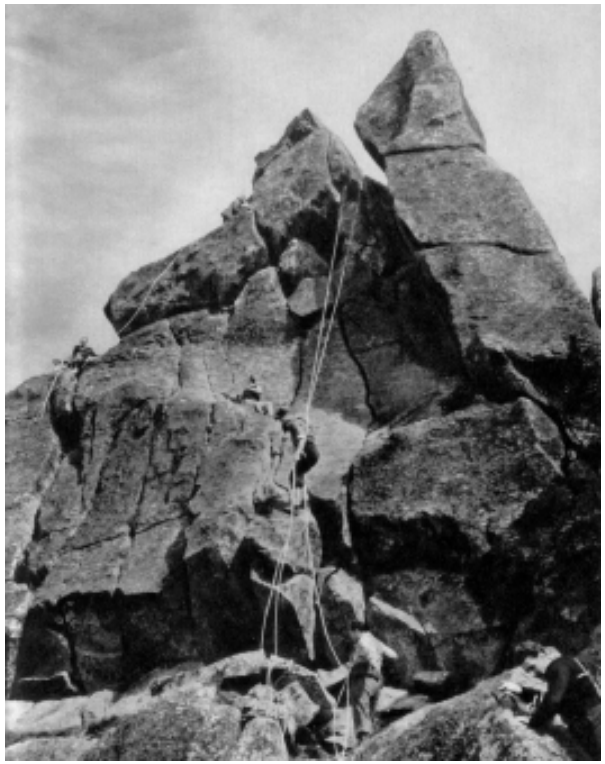

Uchodząca ongi za „karkołmną wspinaczkę" turnia Mnicha nad Morskim Okiem zeszła dziś do roli ćwiczebnej wycieczki dla początkujących alpinistów tatrzańskich. Toteż - jak widzimy na zdjęciu rojno bywa na skałach „strasznego" Mnicha! fot. Z.Małek

zupełnych wyjątków. Już jednak w pierwszych latach powojennych pojawia się nieliczna co prawda z początku, ale silna i aktywna grupa kierowana przez Arno Puskaśa i Juliusa Andraši'ego, której zdobyczą staje się cały szereg pięknych dróg. Około roku 1948 zaczynają włączać się coraz liczniej Czesi. Ruch wysokogórski roz-

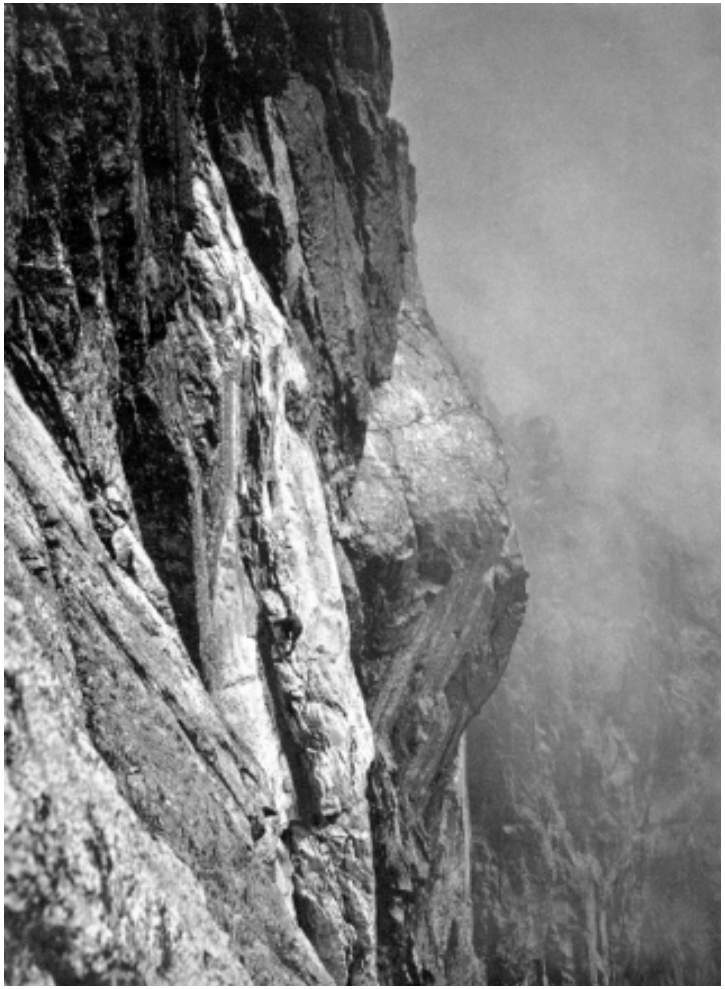

Przejście „Hokej ką" w górnej części, zachodniej ściany Łomnicy
fot. Vilém Heckel

szerza się i krzepnie. Zostaje przebyta nową drogą południową ściana Małego Kołowego Szczytu, pada sąsiadująca z nią dziewicza dotąd, odstraszająca ściana Kopiniaka. Gdy zaś w roku 1950 Frantisek Piśek i Vaclav Zachoval zdobywają środek zachodniej ściany Łomnicy drogą przez „Hokej", ogromną, przewieszkę kształtu kija hokejowego – sławny problem, atakowany bezskutecznie w poprzednich latach przez kilka zespołów polskich – taternictwo czeskie i słowackie wywalcza sobie w lecie po raz pierwszy zdecydowany prymat.

W tych warunkach taternictwo polskie zaczyna się coraz bardziej zwracać ku zimie. Hasło ku temu dają starsi, obyci już z zimą tatrzańską i lodami alpejskimi. Ciągle jeszcze działa aktywnie Zbigniew Korosadowicz, atakując, co prawda bezskutecznie, kilka nowych wielkich problemów i wprowadzając przy tym w taternictwo zimowe młodych zakopiańczyków. Paszucha i Łapiński przechodzą w dniach 22-24 kwietnia 1948 roku grań Tatr Zachodnich od Kasprowego Wierchu do Salatyńskiego. Młodzież musi się stopniowo oswajać i wprowadzać w zimę tatrzańską, toteż w centrum zainteresowania szkolenia tatrzańskiego stają teraz w ciągu paru kolejnych lat zimowe obozy szkoleniowe. Pierwszy z nich, zorganizowany z końcem marca i początkiem kwietnia 1948 roku, kierowany przez Witolda H. Paryskiego, a mający jako instruktorów tak doświadczonych alpinistów jak Hajdukiewicz i Staszel, daje solidną podbudowę zimową licznej grupie młodych, którzy w czasie jego trwania osiągają pierwsze poważne samodzielne sukcesy.

Początek sezonu zimowego 1948/49 roku przynosi wspaniałą zdobycz: po długich i pieczołowitych przygotowaniach bracia Paweł i Janusz Voglowie przechodzą w dniach 13-15 grudnia 1948 roku wschodni filar Ganku, jeden z największych i najsławniejszych problemów zimowych w całych Tatrach, który odpierał dotąd wszystkie szturmy najwybitniejszych taterników. W okresie Wielkanocy 1949 roku Paweł Vogel dorzuca do tego pierwsze przejście zimowe wschodniej ściany Kościelca, dokonane wraz z Ludwikiem Ziemblicem, zaś Jerzy Mitkiewicz i Ryszard W. Schramm wchodzą z Kotła Mięguszowieckiego na Mięguszowiecką Przełęcz Wyżnią, atakowaną już przez Grońskiego i Korosadowicza, dokonując równocześnie pierwszego zimowego jej trawersowania.

Zimy taternickie 1949/50, a zwłaszcza 1950/51 roku są słabsze. Starsi taternicy z wolna się wycofują, młodsi nie dorastają jesz-

cze w pełni do ich klasy. Z poważniejszych problemów pada północna ściana Koziego Wierchu, przebyta prawą połacią przy pomocy sztucznych ułatwień przez Helenę Hajdukiewiczową i Eugeniusza Strzebońskiego. Główne wysiłki młodych taterników idą w kierunku powtarzania największych zdobyczy zimowych. Już w styczniu 1949 roku Karol Jakubowski i Stanisław Worwa dokonują w dwóch dniach drugiego przejścia północnej ściany Mięguszowieckiego Szczytu, a na początku kwietnia Januszkowski i Łapiński powtarzają zachodnią ścianę Niżnich Rysów. W dwa tygodnie później próbę trzeciego przejścia północnej ściany Mięguszowieckiego podejmuje Abgarowicz wraz z Nunbergiem. Abgarowicz wybiera do tego celu nowy, krótszy w w środkowej części ściany, jednak odpada na zalodzo-

Obuwie tamtych lat z blaszkami, zwanymi trikunie, umożliwiającymi poruszanie się zimą po terenie śnieżnym i lodowym fot. Vilém Heckel

nych płytach, doznając skomplikowanego złamania nogi. Nie zrażony tym, mimo całorocznej przerwy w uprawianiu taternictwa, wraca na ścianę po roku, tym razem w towarzystwie Witolda Ostrowskiego, planując przejście ściany samym środkiem, „direttissimą". Pełen zapału i chęci wzięcia rewanżu na ścianie jest motorem całej akcji. Na noc dochodzą obaj pod spiętrzenie kopuły szczytowej. Jednak ogromny wysiłek przy braku treningu, szybkie tempo posuwania się i fatalna noc w przywalanej sypiącymi się ze ściany lawinkami płachcie biwakowej rujnują jego siły – rankiem 5 kwietnia 1950 roku umiera na ścianie. Przez szereg dni w chwilach przerw wśród szalejących nad Morskim Okiem zamieci trwa dramatyczna walka licznej grupy kolegów o ściągnięcie jego ciała, widocznego na zaśnieżonej ścianie z ganku schroniska.

Śmierć Abgarowicza, jednego z najwybitniejszych taterników zimowych pierwszego pokolenia powojennego, taternika pełnego zalet, niezwykle lubianego i popularnego wśród górskiej braci, pierwszy taternicki wypadek zimowy od czasu zgonu Birkenmajera i tak bardzo do tamtego podobny, bez wątpienia przyhamowała nieco rozpęd taternictwa zimowego w następnym sezonie. Dopiero od roku 1952 datuje się naprawdę masowy napływ młodych sił, a zarazem masowy atak na poważne problemy, który w okresie następnych paru lat przynosi nowy wielki skok taternictwa zimowego. Najpiękniejsze sukcesy zimy roku 1951/52 – wejścia północnymi ścianami głównego wierzchołka Giewontu i długiego wierzchołka Giewontu są jeszcze zdobyczami starszej generacji. Jednak już i młodzież ma szereg pięknych, choć nie na tak wielką miarę, osiągnięć. Obok pięknych wejść ścianami zostaje też dwukrotnie przebyta Orla Perć – po raz pierwszy w dwóch dniach od Zawratu do Roztoki przez Komusińskiego i Rubinowskiego, po raz drugi w odwrotnym kierunku w trzech dniach przez czwórkę uczestników zimowego kursu instruktorskiego.

Zapoczątkowany w zimie 1952 roku atak młodzieży taternickiej na wielkie problemy zimowe przybrał w roku 1953 charakter niemal masowy. To raptowne rozszerzenie się czołówki, a w związku z tym zwiększona rywalizacja sportowa i niezwykle przez to ożywiona działalność szeregu taterników, wreszcie doskonałe warunki panujące w Tatrach sprawiły, że osiągnięcia tego sezonu po raz pierwszy nie tylko ilościowo ale i jakościowo zdecydowanie prześcignęły najlepsze

wyniki przedwojenne. Dobre przygotowanie kondycyjne, szybkość akcji, przemyślenie taktyczne ł zastosowanie nowoczesnej techniki w skale i w lodzie pozwoliły na szybkie pokonywanie największych ścian tatrzańskich i na skuteczne porywanie się na drogi, które latem zaliczają się do najwyższych klas trudności. Szereg dróg, których zdobycie należało nie tak dawno do najlepszych osiągnięć taternictwa zimowego, zeszło w tym sezonie do roli przejść już niemal klasycznych, powtarzanych kilkakrotnie.

Najpiękniejszymi osiągnięciami sezonu są przejścia ścian Mięguszowieckiego Szczytu: środka północnej oraz wschodniej, oby-

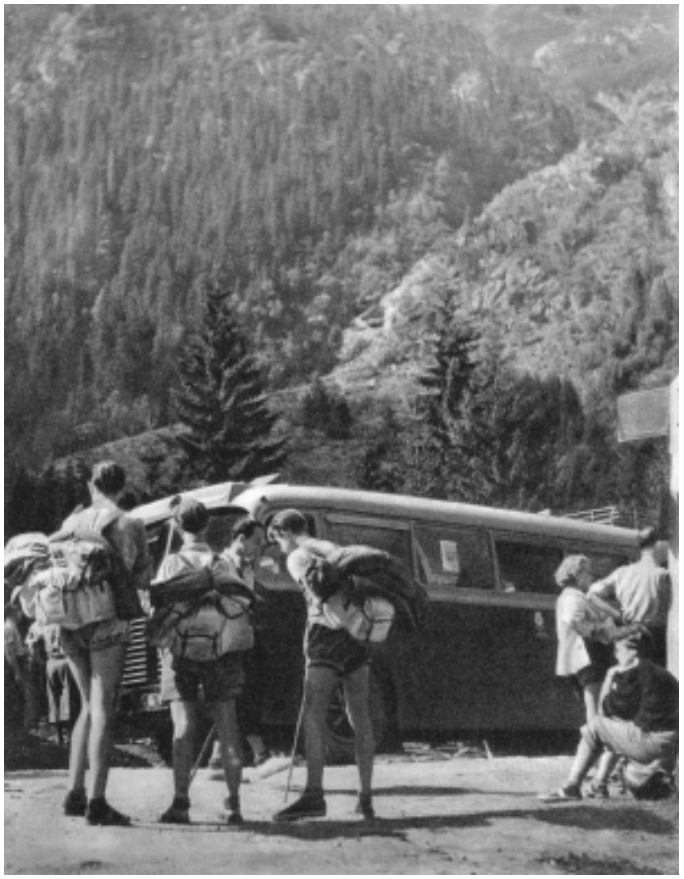

Na przystanku autobusowym przy Wodogrzmotach, fot. K.Harędziński

dwa dwukrotnie. Pierwszego zimowego (i w ogóle) przejścia „direttissimy" północnej ściany dokonała świetna trójka krakowska St. Biel, J. Honowski i Zb. Rubinowski w dniach 12 i 13 lutego, pokonując najtrudniejszy odcinek drogi – wielkie, płytowe zacięcie u wejścia w kopułę szczytową – techniką hakową. Przejście to zostało powtórzone w kwietniu w jednym dniu przez J. Długosza i A. Skoczylasa. Wschodnią ścianę zdobyła w dniach 12 i 13 kwietnia trójka instruktorów zimowego kursu taternickiego – A. Pietsch, St. Worwa i A. Wilczkowski, a już 24 i 25 kwietnia powtórzyli ją w znacznie gorszych warunkach – Mitkiewicz i Schramm.

Także i inne zdobycze tej zimy stoją na wysokim poziomie: północno-wschodnia ściana Mięguszowieckiego Szczytu Pośredniego, wejście od północy 600-metrowym filarem na Małą Wołową Szczerbinę w Wołowym Grzbiecie, zdobycie prawej połaci Kazalnicy olbrzymim, prawie w całości zalodzonym kominem i wiele innych. Połowicznym zwycięstwem uwieńczony został śmiały atak Zb. Jaworowskiego, A. Skoczylasa i A. Truszkowskiego w lutym na Mnichową Przełączkę Wyżnią poprzez północno-wschodnią ścianę Mnicha. Taternicy ci, przebywszy dwa biwaki w ścianie przy silnym mrozie, po pokonaniu ogromnych trudności, pod koniec trzeciego dnia wspinaczki o kilkadziesiąt metrów poniżej przełęczy, wyczerpani obawiając się trzeciego biwaku zmuszeni byli zawezwać w sukurs kolegów i na przełęcz wydostali się już z ich pomocą z góry. Pięknym wyczynem, dającym dobre świadectwo kwalifikacjom, kondycji i taktyce uczestników, było też pierwsze przejście zimowe grani dokoła Morskiego Oka od Żabiej Czuby do Opalonego Wierchu zrobione w czterech dniach (8-11 kwietnia) przez Bielą, Jakubowskiego, Nowickiego i Rubinowskiego.

Niemniej ożywiony niż przy Morskim Oku był sezon w otoczeniu Hali Gąsienicowej i Pięciu Stawów. Spośród wielu rozwiązanych tu problemów na pierwsze miejsce wysuwa się przejście żlebu Drege'a w Granatach przez Dziędzielewicza, Mitkiewicza, Rogowskiego i Udzielę – droga o ogromnych trudnościach technicznych – oraz dwukrotne wejście od północnego-wschodu na Przełączkę nad Doliną Buczynową.

Zupełnie podobnie jak i polskie kształtuje się taternictwo zimowe południowej strony Tatr. Wprawdzie w bezpośrednim okresie powojennym jest ono jeszcze słabe i zaledwie jedno jego osiąg-

nięcie – zdobycie w kwietniu 1946 roku północno-zachodniej ściany Krywania przez A. Veverkę z trzema towarzyszami może być porównywane z równoczesnymi sukcesami Polaków, ale już wkrótce rozpoczyna swoją wielką działalność zimową Arno Puškaš.

Zimy lat 1949-1951 stoją zdecydowanie pod znakiem jego działalności podnoszącej systematycznie poziom stojącego dotąd daleko w tyle za Polakami taternictwa zimowego słowackiego. Zdobyczami Puškaša stają się zarówno wielkie śnieżno-lodowe ściany, jak i najzuchwalsze skalne urwiska: północna ściana Żabiego Konia, południowa Kopy Lodowej, wreszcie zachodnia Łomnicy drogą Birkenmajera.

Wjazd do Tatrzańskiego Parku Narodowego

Równocześnie zapoczątkowane podobnie jak i u nas w roku 1948 zimowe obozy taternickie wprowadzają w góry coraz liczniejsze zastępy Czechów i Słowaków, reprezentujących już w lecie wysoką klasę, którzy, podobnie jak taternicy polscy, w sezonach lat 1951/52 i 1952/53 ruszają do generalnego ataku na największe problemy zimowe. Pierwszy z tych sezonów przynosi między innymi przejście dolnej części północnej ściany Małego Kieżmarskiego Szczytu kominem Stanisławskiego oraz zachodniej ściany Łomnicy przez Hokej, pod którą na dzień przed tym zginął zabity lawiną kamienną jej letni zdobywca – Zachoval. Zimą 1952/53 roku szturm największych ścian ma już, podobnie jak i u nas, charakter masowy. Dwunastoosobowa wyprawa słowacka przechodzi w trzech dniach grań Tatr Bielskich. Cerman i Puškaš pokonują całość północnej ściany Małego Kieżmarskiego (dół kominem Stanisławskiego), pada wschodnia ściana Gierlachu, zachodnia Małej Śnieżnej Turni i wiele innych. Podobnie jak i w lecie sukcesy zimowe taterników czeskich i słowackich zaczynają przewyższać osiągnięcia zamkniętych na własnym ciasnym terenie Polaków.

Pewne odprężenie w tej ciasnej i niewygodnej sytuacji taternictwa polskiego i nieznaczne możliwości dalszego rozwoju przynosi znowu rok 1954. W drugiej połowie marca zostają zorganizowane wielkie manewry czołówki taternickiej, mające wykazać jej organizacyjną, techniczną i taktyczną sprawność w przeprowadzaniu wielodniowych ciężkich wypraw w trudnych warunkach gór wysokich. Impreza ta, nazwana Pierwszą Ogólnopolską Alpiniadą Zimową, zgromadziła 47 taterników z całej Polski, reprezentujących Kraków, Górny Śląsk, Łódź, Poznań, Szczecin, Warszawę, Wrocław i Zakopane, ekipę Filmu Polskiego i przedstawicieli prasy. Całością kierował Tadeusz Nowicki. Po okresie przygotowawczym, stanowiącym zaprawę kondycyjną i techniczną, przystąpiono do właściwej akcji, którą miało być osiągnięcie Mięguszowieckiego Szczytu trzema wielodniowymi trasami graniowymi przez trzy grupy szturmowe: pierwsza grupa, czteroosobowa, pod kierownictwem Jakubowskiego wyruszyła od Wołoszyna poprzez Kozi Wierch i Świnicę mając w planie sześć dni drogi; sześcioosobowa grupa druga prowadzona przez Schramma wyszła o dzień później na grań od Żabiej Czuby poprzez Rysy, mając zaplanowane przebycie swej trasy w ciągu pięciu dni, zaś w trzy dni po pierwszej opuściła Kasprowy Wierch grupa trzecia, którą kierował Dziędzielewicz, aby w sześć osób osiągnąć Mięguszowiecki Szczyt główną granią Tatr.

Oprócz grup szturmowych brały udział w akcji wspierające je grupy łącznikowe, grupa ratunkowa, rezerwowa i grupa specjalnego przeznaczenia, opiekująca się prasą i filmem. Pomimo zupełnego załamania się pogody w ostatnich trzech dniach, wskutek

doskonale zgranej i konsekwentnie przeprowadzonej akcji nie tylko udało się osiągnąć zamierzony cel, ale nawet przyspieszyć osiągnięcie go o pełny dzień.

Okres Alpiniady, w którym poza właściwą wyprawą dokonano szeregu przejść ścianowych, zostaje zakończony pięknym akordem: w dniach 28 i 29 marca wytrwały Jaworowski wraz ze Strumiłłą i J. Walą dokonują wejścia wschodnią ścianą Mnicha na Mnichową Przełączkę Wyżnią.

Także kwiecień, choć daleki od wspaniałych warunków poprzednich sezonów, przynosi szereg pięknych osiągnięć. Przede wszystkim pada jeden z największych problemów całych Tatr – północno-wschodnia grzęda Mięguszowieckiego Szczytu, zdobyta przez czwórkę krakowsko-warszawską: J. Mierzejewskiego, W. Ostrowskiego, J. Piotrowskiego i J. Sawickiego. Mimo że nie rozwiązana została górna część grzędy, którą ominięto zachodami kopuły szczytowej, był to sukces ogromny.

Po stronie słowackiej nastąpiło pewne zahamowanie rozmachu, jeśli chodzi o przejścia ścian. Bez wątpienia przyczyniły się do tego złe na ogół warunki panujące w ciągu zimy. Sukcesem najwyższej miary stało się natomiast dwukrotne przejście zimowe grani Tatr Wysokich; pierwszego – od Liliowego do Przełęczy pod Kopą dokonali Matras i Mlezak w czasie l-12 grudnia 1953 roku, drugiego, w odwrotnym kierunku, w ciągu dziesięciu dni pod koniec marca 1954 roku doskonała czwórka czeska: German, Masek, Kuchar i Svatoš.

Latem 1954 roku po raz pierwszy od pięciu lat ruszają znowu obozy taterników polskich w Tatry słowackie. Zostają wyszukane nowe drogi na Kaczej, Zasłonistej, Hrubej Turni, Koziej Strażnicy, Litworowym Szczycie, Małym Lodowym – problemy szczątkowe, nie dorównujące rozmiarami i pięknością dawnym zdobyczom, ale choć w części zaspokajające głód nowości.

Główny ciężar zostaje przerzucony na powtarzanie największych dróg – zostają też przebyte wszystkie niemal największe ściany głównie w otoczeniu Kaczej i Kieżmarskiej Doliny. W Tatrach polskich zostaje dwukrotnie przebyta (a po raz pierwszy – w ciągu jednej nie przerwanej wyprawy) ostatnia z nie powtórzonych, najtrudniejszych wojennych zdobyczy – środek północnej ściany Żabiej Turni Mięguszowieckiej. Dwukrotnie też zostaje zrobiona grań od Żabiej Czuby do Wołoszyna, zwana przez taterników „Granią Tatr Polskich".

Z przejścia grani Tatr 1955, fot. Ryszard Schramm

Sezon zimowy 1954/55 roku nie przynosi spodziewanych rezultatów. Pobyt licznej grupy taterników na obozach zimowych na Słowacji w marcu trafia na bardzo kapryśne warunki, toteż nawet najwybitniejsze osiągnięcia, jak wejście wschodnią ścianą Wysokiej czy zdobycie Zadniej Bednarzowej Turni w grani Hrubego z Doliny Hlińskiej są słabsze od zdobyczy Czechów i Słowaków, którzy, wykorzystując na własnym terenie okresy lepszej pogody, mogą zapisać na swoje konto takie wejścia ścianowe, jak Żłobisty Szczyt z Doliny Kaczej lub Galeria Gankowa kominem Stanisławskiego i szereg pięknych powtórzeń z drugim przejściem wschodniego filara Gan-

ku na czele, w graniówkach zaś – dwa zespołowe przejścia grani Tatr Wysokich lub tak piękną wyprawę jak odcinek grani od Przełęczy pod Kopą do Polskiego Grzebienia ze zrobieniem „po drodze" północnych ścian Ramienia Lodowego i Jaworowego Szczytu.

Na wyjątkowo niepomyślne warunki trafiła II Alpiniada Zimowa, odbywająca się w dniach 12–25 kwietnia 1955 roku pod kierownictwem Paryskiego, a pomyślana jako ciężka 35-osobowa wyprawa treningowa systemem wielkich wypraw w zupełnym oderwaniu od cywilizacji na trasie od Wawrzeczkowej Cyrhli przez Polanę Waksmundzką i dalej granią przez Koszystą aż do Świnicy i z powrotem. Przez trzy dni przetransportowano cały 3-tonowy bagaż na Polanę Waksmundzką i założono wysunięty skład na Małej Koszystej. Czwartego dnia, w rozpoczynającej się zamieci założono bazę na Krzyżnem.

„W ciągu kilku godzin wytężonej pracy, bez chwili wytchnienia, oślepiani śnieżycą, tłamszeni przez wichurę, wyrównaliśmy miejsce i rozbiliśmy namioty: dwa mieszkalne, kuchnię i czwarty mały na magazyn sprzętu. O zmierzchu ukończyliśmy pracę i mogliśmy łyknąć trochę ugotowanego naprędce jedzenia – pierwszy od rana posiłek. Byliśmy niemal kompletnie mokrzy i piekielnie zmęczeni. Ubrawszy się we wszystko cośmy mieli – suche i mokre (tylko tak mogło wyschnąć bez słońca) – ułożyliśmy się w śpiworach. Przez trzy dni bez przerwy szalała burza śnieżna, odcinając nas zupełnie od świata. Masy niesionego wiatrem śniegu i chmur otoczyły nas ciasnym, wirującym, mlecznym tumanem. Namioty zasypało do połowy dachu, mały namiot, w którym urządziliśmy skład sprzętu, zniknął w ogóle z powierzchni. Spadło około metra świeżego śniegu. Wewnątrz szron osiadł na ścianach na palec grubą warstwą iskrzących kryształków.

Spędzaliśmy dnie niemal nie wychodząc ze śpiworów. Dopiero koło pierwszej – drugiej po południu wstawaliśmy, zdejmowaliśmy część rzeczy, w których leżeliśmy, grzaliśmy nad spirytusową maszynką zamarznięte na kość stale przemoczone buty aż dały się wcisnąć na nogi i usunąwszy kilka warstw peleryn, skafandrów i worków, którymi zatykaliśmy nieszczelne wejście, przemykaliśmy się do kuchni na jedyny w ciągu dnia ciepły posiłek."

Największy notowany w ogóle w Tatrach jednorazowy opad śnieżny załamał nierozwiniętą nawet jeszcze dobrze akcję. Przelotne rozpogodzenie rano 21 kwietnia pozwala jeszcze trzyosobowej grupie na dotarcie do Granackiej Przełęczy, ale ponowne pogorszenie się pogody zmusza do ostateczne likwidacji całej wyprawy.

Intensywna działalność licznej czołówki wspinaczy z tej i z tamtej strony Tatr wyczerpała już niemal całkowicie możliwości letnie.

W lecie 1955 roku eksploatacja Jaworowych Turni przez taterników polskich, zgromadzonych na obozach w Dolinie Jaworowej, przynosi rozwiązanie już chyba ostatnich poważnych problemów tatrzańskich, Honowski i Wilczkowski przechodzą nową drogą północną ścianę Jaworowego Rogu, Biel i Rubinowski – środek północnej ściany Wielkiej Jaworowej Turni.

W tych warunkach coraz częściej zaczynają zwracać uwagę taterników urwiska, które opierały się dotychczas zwycięsko wszystkim próbom i wobec których bezsilna okazała się nawet do perfekcji doprowadzona technika hakowa: lewa połać północno-wschodniej ściany Kazalnicy i środek północno-wschodniej ściany Mnicha.

Oba te problemy obrał za cel swoich długotrwałych wysiłków Jan Długosz. Lewą połać Kazalnicy szturmował już dwa razy w poprzednich latach; drugi atak zawiódł go do nyży pod kluczową, ogromną, litą przewieszką – nie do przebycia. Literatura podsunęła jedyne możliwe rozwiązanie: specjalne wiertło, umożliwiające wykucie w litej skale otworów na osadzenie specjalnych haków. W lipcu 1955 roku Długosz wraz z Momatiukiem atakują po raz trzeci „lewą Kazalnicę", zbrojni tym razem w klucz mający im otworzyć przewieszkę.

„Atakuję przewieszkę po prostu tylko dlatego, żeby od razu się nie wycofywać – zupełnie bez wiary w powodzenie. Wbijam hak i od razu trzeba wiercić. W niewygodnej pozycji drętwieją ręce, stukam i stukam – mijają minuty, dziesiątki minut, wreszcie jest. Z niedowierzaniem staję na zawieszonej pętelce – i takie coś miałoby mnie utrzymać? A jednak wbrew zdrowemu rozsądkowi wiszę. Wzruszam ramionami i zaczynam bić drugi otwór.

Trwa to jeszcze dłużej, potem wskakuje hak i znowu dziurka. Mam już zupełnie dość, przez całe dwie i pół godziny posunąłem się 3-4 metry, a i to trawersem. Ręce jak z waty. Wracam. Atakuje

Momo. Siedzę skulony na ruchomych głazach i walczę z sennością. Momo stuka i stuka.

Jestem zupełnie złamany. W tym tempie nie zrobimy przewieszki ani za tydzień...

... Potwornie chce mi się pić. Wyssaliśmy już wszystkie nawilgłe mchy naokoło. Momo po drodze odrywa napęczniałe ściekającą z przewieszki wodą kępki, sprawiedliwie dzieli na pół i rzuca. Co za smaki Nic to, że w ustach zgrzyta piasek."

Nadchodzi noc.

„Miałem już w życiu wygodniejsze biwaki – pisze dalej Długosz. – Momo ma nogi w pętlach, ja trzymam mu głowę na brzuchu – nogi wiszą z drugiej strony turniczki nad Czarnym Stawem – a on z kolei uciska mój żołądek... Ciągle się poprawiamy, ale delikatnie, ostatecznie jesteśmy nie byle gdzie."

W południe następnego dnia – wyjście z przewieszki. Ale do końca jeszcze daleko – jeszcze dwa dni. Trudności. Ekspozycja (– „Czarna toń pod nami"). Pragnienie (– „Chodzę na czworakach po trawie i jak pies usiłuję zebrać językiem krople deszczu z liści i traw"). Pośpiech (– „Perspektywa trzeciego biwaku – a w wypadku deszczu całkowitej katastrofy"). I wreszcie – „kiedy już całkiem tracimy nadzieję, że ściana się kiedyś skończy – wychodzę na jakiś wzgórek, widzę biało-zielony znak na szczytowym głazie i ścieżkę idącą na Przełęcz pod Chłopkiem...

... Po 63 godzinach w terenie, dwóch biwakach i 155 wbitych hakach, leżymy szczęśliwi na szczycie."

Po licznych, dwudziestoparoletnich próbach, pada także wreszcie środek północno-wschodniej ściany Mnicha, osławiony „wariant R". Przechodzą go Długosz i Pietsch w dniach 5 i 7 października stosując wypraktykowaną na Kazalnicy technikę.

Jednocześnie z tymi ostatnimi wielkimi zdobyczami ścianowymi rozwiązany zostaje w 1955 roku także ostatni, a zarazem największy, problem graniowy – przejście całej grani Tatr,

Główna grań Tatr ciągnie się zygzakowatą, łamaną linią od Przełęczy •dziarskiej na wschodzie po Przełęcz Huciańską na zachodzie przebiegając na przestrzeni 75 kilometrów przez Tatry Bielskie, Wysokie i Zachodnie. Wznosi się w niej, licząc jako jednostki wszystkie szczyty wielowierzchołkowe, a nawet wszystkie

obejmowane wspólną nazwą zbiorową, 98 szczytów, a łączna różnica wzniesień przekracza 22 000 metrów.

Przejście grani podjęła piątka: Hegerle, Krysa, Piotrowski, Schramm i Staszel. „Było rzeczą jasną, że przejście całej grani będzie niełatwym zadaniem i uwieńczenie go sukcesem będzie zależne od idealnego zgrania bardzo wielu czynników – no i od funta szczęścia". Duże doświadczenie wysokogórskie wszystkich uczestników i dobra pogoda panująca w tym okresie pozwoliły na ukończenie w czasie 3–13 września w dobrej formie tego wielkiego przedsięwzięcia o najbogatszej bez wątpienia dostępnej w Tatrach skali przeżyć wysokogórskich, pomimo jego poważnych i rozlicznych trudności.

„Jak opowiedzieć tych sto szczytów, sto przełęczy, ową całą *słoneczność wielkich wyżyn*, a równocześnie cały niezmierny trud wyprawy!? Bolesną szorstkość granitu i oślizgłość namokniętych porostów. Przygniatające brzemię worów, słone strużki potu spływające wzdłuż nosa. Gwizd kamienia, mierzącego kilkusetmetrowym łukiem wprost w głowę Jurka, krzyk i skok, które uratowały mu życie... I zapach trawy. I delikatne kształty goryczek. I płomień watry w ostatni wieczór pod Rohaczami. I smak ostatniej tabliczki czekolady...

Już nawet nie jak, ale co powiedzieć, aby w tym była Grań...

Najważniejsze – żeśmy doszli!"

Następne lata nie przynoszą, bo nie mogą już przynieść, rozwiązania żadnych poważnych problemów. Epoka letniego zdobywania Tatr została definitywnie zakończona. Jeszcze tylko od czasu do czasu, coraz rzadziej, trafiają się jakieś okruchy, nietknięte fragmenty, resztki: kilka nowych dróg w otoczeniu Doliny Staroleśnej, płytowy środek lewej połaci południowej ściany Batyżowieckiego Szczytu zdobyty przez Czechów. Z początkiem lata 1957 trójka zakopiańczyków – członków G.O.P.R.: Berbeka, Gajewski i Wawra powtarza przejście całości grani Tatr, tym razem z zachodu na wschód.

Droga postępu przez zdobywanie nowych urwisk zostaje w Tatrach na zawsze zamknięta. Pozostaje tylko droga postępu technicznego przez przechodzenie coraz trudniejszych z już zdobytych dróg w coraz lepszym stylu i czasie. W latach 1956 i 1957 są też powtarzane już wszystkie najtrudniejsze drogi, zdobyte wszystkimi technikami: droga Orłowskiego na Galerii Gankowej i hakowa

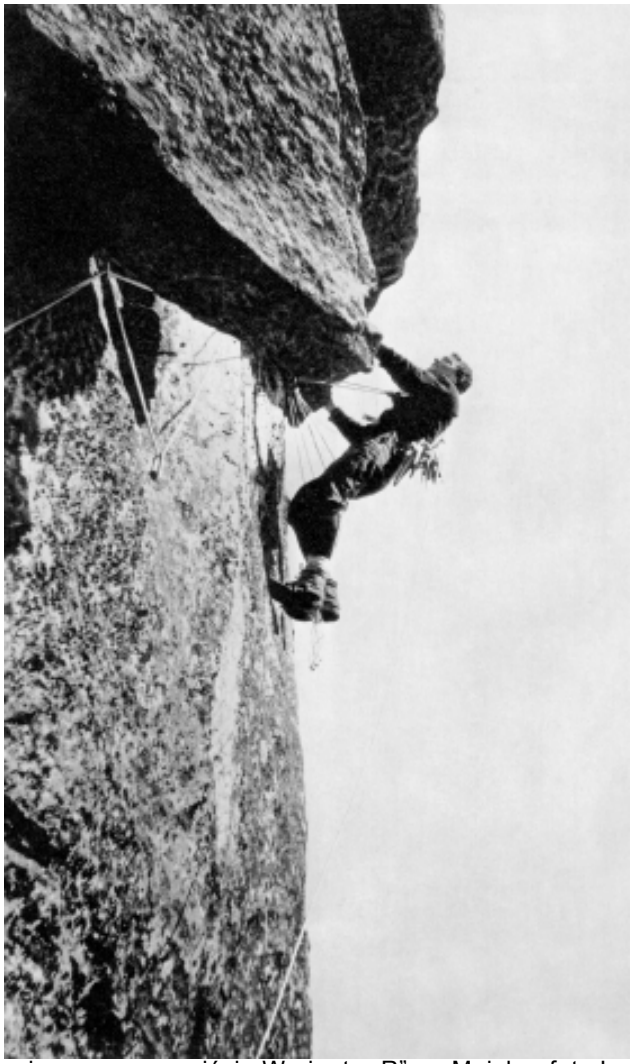

Zdjęcie z pierwszego przejścia Wariantu „R” na Mnichu, fot. Jan Długosz

droga „Pokutników” na tej samej ścianie i lewa połać Kazalnicy. Największe zdobycze sprzed dwudziestu czy nawet dziesięciu lat stają się przejściami klasycznymi, całe Tatry schodzą do roli i wymiarów treningowych dla ludzi mających coś więcej do powiedzenia w górach wysokich.

Ciągle jeszcze natomiast na coraz wyższy poziom dźwiga się taternictwo zimowe, ta bezpośrednia zaprawa do gór najwyższych, i zimy tego okresu przynoszą coraz lepsze osiągnięcia. Pod koniec marca 1956 roku Długosz i Pietsch w ciągu trzech i pół dnia przechodzą po raz pierwszy całość północno-wschodniej grzędy Mięguszowieckiego Szczytu, pokonując także dotychczas nie tkniętą zimą jej górną część. W drugiej połowie kwietnia Karpiński i Zarębski w trzech dniach zdobywają Gankową Przełęcz z Doliny Kaczej. Obok tych dróg, należących do najwspanialszych w Tatrach, pada jeszcze wiele innych, jak lewy filar północno-wschodniej ściany Cubryny, zachodnia grzęda Niżnych Rysów przez Tomkowe Igły, północno-wschodnia ściana Mnicha i szereg pierwszorzędnych powtórzeń z pierwszym polskim (a w ogóle czwartym) przejściem zimowym środka północnej ściany Małego Kieżmarskiego Szczytu na czele.

Równie bogaty, choć może nie uwieńczony tak wybitnymi sukcesami, jest sezon taterników czeskich i słowackich.

W ostatnich dniach marca grupa taterników krakowskich przystępuje też wreszcie do planowanego od dawna polskiego przejścia zimowego grani Tatr Wysokich. Zostają założone składy żywności na grani, mimo to plecaki ważą po 20 kg, gdy 31 marca rusza od Przełęczy pod Kopą 8-osobowa grupa szturmowa, kierowana przez J. Walę, wspomagana przez posuwającą się dolinami 6-osobową grupę pomocniczą. W ciągu dziesięciu dni, przy stale pogarszającej się pogodzie, grupa szturmowa, posuwając się w zasadzie granią, osiąga rejon Mięguszowieckich Szczytów i zakłada biwak przy Hińczowych Stawach, gdzie zostaje uwięziona przez zawieję śnieżną. Dopiero 12 kwietnia następuje rozpogodzenie przynoszące za sobą kontynuację akcji – próbę wejścia dwóch zespołów na Mięguszowieckie Szczyty: nad Czarnym i Pośredni. Około godziny 8 rano z południowych zboczy Mięguszowieckiego Szczytu Pośredniego schodzi wielka lawina porywając z sobą posuwających się w górę stromą depresją Henryka Czarnockiego i Tadeusza Strumiłłę. Natychmiastowa akcja kolegów i Pogotowia Górskiego T.H.S. doprowadza po kilku godzinach do odnalezienia ciał. Pieczołowicie przygotowana wyprawa, prowadzona z wielkim nakładem sił w bardzo ciężkich warunkach, przynosząca zupełnie nowe dla taterników polskich cenne i wielostronne doświadczenia – zostaje przerwana w przeddzień ukończenia w najtragiczniejszy sposób.

Zima 1956/57 roku, słabsza nieco na Słowacji, przynosi nowe sukcesy po polskiej stronie. „Kto nie idzie naprzód, ten stoi w miejscu; kto stoi w miejscu, ten się cofa. Atak na środek Kazalnicy w zimie był nieunikniony". Do rozwiązania tego największego z pozostałych problemów Tatr polskich przystępują czwórka: Jan Długosz, Czesław Momatiuk, Andrzej Pietsch i Marian Własiński.

„7 stycznia rozpoczęliśmy *działania wojenne*. Pogoda była nienadzwyczajna. Według planu pierwszy dzień miał przynieść założenie poręczówek do tzw. Turniczki, drugi dotarcie pod ściankę problemową, trzeci ostateczny szturm. Plan załamał się od razu pierwszego dnia: Turniczki nie osiągnęliśmy."

Od pierwszego marca cała czwórka pracuje w ścianie, przygotowując przejście dolnych odcinków do ostatecznego ataku, do którego przystąpiono 6 marca. Dzięki uprzednio założonym linom poręczowym przejście pierwszych 200 m wraz z transportem plecaków zajęło „tylko" jeden dzień – ale jeszcze dwa dalsze upłynęły, nim wytrwali wspinacze zbliżyli się do końca nieustannie nadzwyczaj wielkich trudności.

„Jeszcze 3 godziny do zmroku. Jak tak dalej pójdzie, nie skończymy. Mróz silny, koło 20 stopni, nogi mamy już trochę poodmrażane, trzeba się na coś zdecydować. Decyzja jest ryzykowna, ale w tym wypadku jedyna: zrzucać plecaki! Za chwilę Momatiuk z okrzykiem radości puszcza pierwszy. Powietrze przecina świszczący warkot, plecak trąca raz o skałę – potem długa, przydługa chwila ciszy i przygłuszone sieknięcie o lód. Ten sam los spotyka dwa pozostałe i drabinki."

Desperacka decyzja rozstrzyga o sukcesie. „0 16.30 przekopuję się z wysiłkiem przez ostatni nawis... Wbijam daleko czekan i na brzuchu gramolę się na śnieżny pagórek,"

W dzień po rozpoczęciu finału „Operacji Kazalnica" wychodzi ze schroniska nad Morskim Okiem 7-osobowa grupa członków Koła Poznańskiego Klubu Wysokogórskiego pod kierownictwem Schramma na przygotowywane również od stycznia przejście zimowe grani od Żabiej Czuby do Wołoszyna.

Mimo niezbyt korzystnych warunków, które w rezultacie przedłużyły planowaną akcję do ośmiu dni, wyprawa wymagająca wielkiego nakładu sił fizycznych i psychicznych, działająca w całości w oderwaniu od wszelkiej pomocy z zewnątrz, zakończona zostaje pełnym sukcesem. Nie najgorsze w sumie, a w kwietniu wręcz doskonałe warunki oraz ożywiona działalność, często o charakterze treningu przed wyprawami alpejskimi, coraz to nowych taterników przynosi tej zimy szereg dalszych osiągnięć. Padają wielokrotnie już atakowane: północna ściana Żabiego Szczytu Wyżniego, zdobyta przez czwórkę poznańską, późniejszych uczestników wyprawy graniowej, Mięguszowiecka Przełęcz pod Chłopkiem wprost z Kotła Mięguszowieckiego i Wołowa Turnia od północy. Mnożą się też najlepsze powtórzenia: grzęda i wschodnia ściana Mięguszowieckiego mają po cztery przejścia w ciągu kilkunastu dni.

Sezon zimowy 1957/58 roku – to dalszy atak na coraz mniej liczne nie zdobyte zimą ściany. Piękne sukcesy przynosi początek zimy. Pod koniec sezonu pada po pieczołowicie przygotowanej akcji najtrudniejsza chyba droga w Tatrach – lewa połać Kazalnicy. Osiągnięta zostaje granica trudności w Tatrach. Druga z kolei polska próba przejścia zimowego grani Tatr, prowadzona w ciężkich i niekorzystnych warunkach, kończy się niestety również tragicznie śmiercią w lawinie młodego taternika i ratownika zakopiańskiego Ryszarda Wawry.

Zimowe zdobywanie Tatr zbliża się już szybkimi krokami do stanu letniego – do wyczerpania problemów. To, co zostało do zrobienia, nie jest już ani większe, ani trudniejsze od tego, co już zrobiono. Ekspansja odrodzonego przed dwoma laty Klubu Wysokogórskiego szuka swoich szlaków w Alpach, na Kaukazie, poza granicami Europy – a Tatry, naturalną koleją rzeczy, z gór stanowiących w sensie alpinistycznym cel sam w sobie stają się coraz bardziej tylko miejscem treningu dla coraz liczniejszej i na coraz wyższym poziomie stojącej czołówki do wypraw w góry większe, egzotyczne, mimo że dla każdego z nas są one przecież jedyną, prawdziwą górską ojczyzną, do której się zawsze wraca – jak do matki.

Ryszard Wiktor Schramm

Górami pisane

Kazimierz Przerwa Tetmajer: Jak się Józek Smaś pojechał wysłuchać

Józek Smaś Solicarz od Mrowców z Olczy wielki to był strzelec, a większy jeszcze zbójnik, zaciekły i zajadły, bo nie z potrzeby, ale z ochoty. Ale największy był on bezbożnik. Nigdy na „Pokwalony Jezus Krystus" inaczej nie odpowiedział, tylko: „Niekze ta, niekze ta" albo „Niek-ze se będzie. Ja Mu się nie prociwiem" — co mu nawet nie krócej, ale dłużej niż „Na wieki wieków. Amen" wychodziło. Jeżeli jako strzelec równał się ku Jankowi z Jurgowa, który od Hawrania przez Litworowe aż po Kościelec kozy niszczył; jako zbójnik ku Jankowi z Brzezawicki, o którym śpiewali:

Na wysokim wirsku krzesom siubienicki, Wtoz hań budzie wisiol? Janko z Brzezawicki !—

to jako bezbożnik całkiem on był jancykryst. A **co** przy tym było dziwne, że był bogaty gazda i wszystko mu się więdło, do wszystkiego szczęście miał. Nijakiego waloru bieda ku niemu nie miała. Tak mu się więdło, jakby mu Pan Bóg umyślnie błogosławił, a on nigdy może nawet w kościele nie był, chyba wtedy, kie go kścili.

Nie, żeby już tak do imentu nie wierzył, ale nic o tym wszystkim wiedzieć nie chciał.

— Ja ta nie widzem — mówił — coby się Pan Bóg do mnie wrazoł, cos ja się Mu ta bodem popod ręce plątał? Zasiejem, — zeżre mi; nie zasiejem — nie będzie nic. Pojem — nie głodnyk; nie pojem — to się mi jeść fce. Zyjem, bok się urodził; umrem, bo przydzie śmierzć. Wiem, ze góry som jest niemałe, bok bez nie seł; wiem, ze drzewo twarde, bok je rąbał; wiem, jako ogień pali, woda gasi, ale o Panu Bogu lemze telo wiem, co o tym królu, co se ta we swojej stolicy kasi władze. Ja ta ku temu, co ku mnie nie idzie, nie wartki.

Dufny to w siebie chłop był, obrotny, mądry, a strasznie śmiały.

Mimo tej bezbożności ludzie go kochali, a to dlatego, że dobry był; nikomu krzywdy nie zrobił, pomógł w strapieniu, mądry był do rady i mowny, a już jak jakie dudki skąd do chałupy przyniósł, mógł pić kto chciał i ile chciał. Nie z samej Olczy, z Pardółówki, z Hrubego, ale ze Zakopanego, z Poronina, z Murzasihia, z Cichego, i z Bukowiny ludzie się schodzili do karczmy, gdzie pić lubił, kiedy się zwiedzieli, że z pieniędzmi przyszedł. A on się w tym cieszył i często nierzadko komu na krowę, na konia, na siacie dał.

Ale się więdło i przewiedło. Niemłody już był, bo miał koło 55 lat, zaskoczyła go przy Zmarzłym Stawie pod Polskim Grzebieniem na polewaczce kurniawa, wiatr, śnieg, mróz; trzy dni i trzy noce pod skałą przesiedział, bo iść niesposób. Tyle dobrze, że jeść tam jako tako ze sobą miał. Przyszedł do domu, rozniemógł się. Dopiero się teraz zaczęło odzywać: w grzbiecie łapa niedźwiedzia, co go nią zdzielił pod Rohaczami, nim na drzewo zdążył uciec; w kolanie, w prawej nodze, kamień, co się gdzieś w Młynarzu urwał w żlebie i w kość trafił; w boku żebra potłuczone, co go Spiżacy przy Pięciu Stawach Węgierskich oklepcami na kozy dotłukli; w głowie dziury od bitek- z młodości. Zaczęło łupać po kościach, wiercić, łamać — bieda było wytrzymać. Spadł z ciała, zesłabł, trudno było z pościeli zleźć.

Niedźwiedzie, świstacze sadło, czy to na wewnątrz, czy smarowane, nic nie pomogło.

Przyszła baba, stara Katarzyna Magierka od Janików, okadziła go — nic. Przyszła druga baba, jeszcze starsza, Trzebuńka, zamówiła, zaczyniła — nic. Nie pomógł i Kubuś Bednarz, **co** mu już sto lat było, choć mu owce, krowy, konie pod rękami zdrowiały.

Dopiero się zejdą baby sąsiadki radzić: siadły koło łóżka.

— Ej kumoterku, kumoterku, jus wy ta wnet dojńdziecie, dojńdziecie — powiada jedna.

— Hej, swoku, nie wiemy wam jus poradzić nijako — powiada druga.

— Niwto haw jus nie poradzi, moi mieli, jedna śmierzć — powiada trzecia.

— Ej, kumoterku, kumoterku, trza by o dusy myśleć.

— Coby zaś pote późno nie było, swoku.

— A wtoz wie? Nieraz tak bywuje — może by i popuściło by kielo telo po komuniji świentej.

— Wiera, dobrze padacie, kumosicko. Cobyście tyś, kumoterku, dali się wysłuhać.

— Przed Matkom Boskom cudowriom w Ludzimirzu.

— E dy ta jest i w Odrowązie, pada j om, cudowna — odezwał się Smaś, któremu się Odrowąż lepiej podobał, bo dalej, a to już zbójecka i myśliwska natura, jak iść, to daleko.

— Hej, moi mieli! Ona ku ludzimirskiej ani za kuharecke nie warce!

— Jedźcie, swoku, wysłuhajcie się!

— O jedźcie tyś, jedźcie, kumoterku, a pilno, ponaglajcie się, bo cas!

— Jedźcież, jedźcie, moi mieli!

— Diaboł ku wam nie będzie miał przystępu, a on haw nie prec będzie!

— Hej, dobrze padajom kumosicka, oni ta wse mądrze radżom. Nie prec, nie prec!

— Kiek haw wcora z domu sła, moi mieli, takie mi came kocisko spod nóg smyrgło. Jazek się wzdrygła!!

— Diaboł nawoli w kota.

— Ej, kumosicko, widowali go jus ludzie i w psiej skórze.

— Ale się mu za kota obrócić naracej widzi.

— Je cos ta takiemu? Co fce, potrefi. Diaboł i diaboł.

— Kie Symek Mrowca konał, to się zaś objawił za wilka. Tu! tu! popod hałupe przęseł.

— Ej raty!

— A po cymze go poznali, co je nie wilk prawdziwy?

— Ej ci już wiedzieli, co poznajali! Pono w nurze miał ogień. W nocy to beło.

— Ej raty!

— Nie wysłuhał się to stary Mrowca?

— Nie dowieźli mu ksiendza. Konie staneny w zaspak.

— Ej! wiecie! to ta już nie wto iny sprawieł, jino jacy on, ten wilk.

— Tak tyś ukwalowali sytka, ze nie co ine, jacy on.

— Hej! Panjezusicku nasłodsy!

— Maryjo Przecysta!

— Syscy janieli, jacyście ta ka jino po niebie!

— Kumoterku, kumoterku! jedźcie się wysłuhać! Nic już s was! Ino patrzyć!

— O nic! nic! Zbledliście! Pół was ubyło! Skapiecie!

— Jedźcież, jedźcież moi mieli, ono wam ta już nie przepuści tem rażę.

— Wiera ze nie!

— Ej nie!

I jak zaczęły nad nim jajczeć, a biadkać, a sklamrzyć, zdecydował się Józek Smaś do Pana Boga do Ludzimierza jechać.

Uchwalili na odpust, ósmego września, w samo Narodzenie Najświętszej Panny.

Ustały deszcze, co tego sierpnia lały bardzo, zaraz się Józkowi lepiej zrobiło, przestało go tak strasecnie łupać po kościach.

Wstał z pościeli, umył się, włosy masłem wysmarował, czysto się oblókł, kapelusz nowy, czucha nowa, serdak nowy, portki, kerpce, jak na wesele. Radowały się baby, co go namówiły i jechać z nim miały; żony już nie miał, wdowcem był. Ale się dopiero zadziwią! — bo tu przed chałupę

zajeżdża wóz, a we wozie skrzypkowie dwaj, basisty — jak na wesele! A dopiero gęby otwarły, kiedy Smaś pistolety dwa za pas, noże dwa, do garści ciupaga, a przez ramię flinta.

— Zjeć, bójcie się Boga, kumoterku! Cos wy robicie?!

— Diabłów zjadło, swoku! Dy to przecie nie na kozy!

— Ani nie w Luptów, na dudki, moi mieli! A Józek Smaś oparł się na ciupadze i powiada: Nigdy-jek ja nie seł inacyj ku niewtoremu panu: dziedzicowi, derektorowi, kaserowi, kupcowi abo co fciało, niek beło! A dy przecie, padacie, Pan Bóg nawięksy ze syćkik! A hoj ta po inksym interasie ku Niemu jadę, niegze mu nie ublizem, ze telo ku mnie nie płaci, co hojwtory dziedzic abo i gazda, abo i Żyd psia para, cok ku nim we zbroi seł. Niegze Mu to nie będzie krzywo, niek se nie krziwdzi. A ze to się mamy jednać, to muzykę bierem, coby wiedział, ze nie załujem na ten zgodę i zapłaceni. A niegze i to wiś, ze kie On gazda na niebie, to ja ta tes niezgorsy, na swoim, w Olcy. Może On mi pierunem zagrzmi, to ja Mu zaś basami dam odbrzęceć. Haj!

I pojechał. Na jednym wozie na przedzie muzyka, na drugim on z babami.

Patrzą ludzie, dziwują się, przejechał wsie kunowotarskie, na Zaskalu skręcili do Ludzimierza, jadą. Raniutko wyjechali, dobrze na czas zdążyli. Ludzi moc, odpust ogromny, krzyk, gwar, ścisk — a co kto spojrzy, to się dobrze nie przeżegna! Tu muzyka na przedzie, za nią stary chłop, siwy, pistolety za pasem, lufa mu się zza ramienia świeci, patrzy śmiało jak orzeł, choć widno po nim chorobę.

— Je cos to takiego?! — pytają się jedni drugich. — Wtoze to taki?

— Jakisi Podhalan, z tyk skrzidlatyk, be ka z Wirh-bukowiny abo od Kościeliska — mówią inni.

— Z flintom jedzie.

— Może jaki leśnicki wto wie skąd?

— Zeć tu niejeden leśny abo leśnicy przizeł, a bez to przez flinty.

Dziwowali się, nie mogli na nic myślą przyjść.

Zajechał Smaś przed kościół.

Tłum koło niego. Czarno i białodunajczanie, szaflarzanie, z Ostrowska ludzie, z Pyzówki, z Wróblówki, z Podczerwiennego, z Koniówki, z Pieniążkowic, z Odrowąża, z Ochotnicy, z Niwy, z Lasku, z Klikuszowy, z Łopuszny, z Sieniawy, z Krauszowa, z Rogoźnika, z Długopola, z Maruszyny, z Morawczyny, z Rabki, z Nowego Targu, z całej okolicy i z dalsza, od Suchej, od Żywca, od Wadowic, od Myślenic i z dalej, z Orawy, ze Spiżu, od samego Kubina, od samego Kieżmarku. Tysiące. Ale między nimi wszystkimi Smasia z Olczy znać.

Mało w kościele miejsca było, księża słuchali i za kościołem pod lipami. Usłyszał jeden młody muzykę, bo Smaś ustawać grać bronił, porwie się ze słuchanicy, odtrzepnął od siebie babę, co ją słuchać właśnie skończył, skoczy, patrzy — jak krzyknie!

Różnie ta skrzycał; żywy ksiondz beł.

Ustali grać.

— Coście wy za jedni?! — woła ksiądz. — Co tu chcecie? ...

Wyjdzie Smaś na przodek — baby za nim, kumoszki — zdejmuje kapelusz i powiada:

— Nie wiem, jak ta do was. mówić: jegomość, ociec cy jako, bo ja ta tego nie ucony, anik ta s tém nie rabiał , ba u mnie kościół Gierlak, a zwonnica Lodowe. Ale mię baby namówiły, wysłuhaj się, padajom, tos tok się przyjehał wysłuhać. Jak wam wóla, to ja gotowy.

Potruchlały baby sąsiadki, bo go uczyły przez drogę i co grzechy, i jak się spowiadać trzeba, i jak pięknie do duchownej osoby mówić, a ten tak po swojemu, ze zbójecka.

Ksiądz też oczy otworzył na tę przemowę, a ludzie dookoła aż się zakołysali tłokiem.

— Jagze? — pyta Smaś. Kazał mu ksiądz broń odrzucić.

— To jus tak na raty kazujecie? — powiada Smaś. — E dy ja myślał, co mi tu w nawieńksym ryńśtunku przyńść trza — ale niek ta już będzie, jako fcecie.

Rozzbroił się; oddał pachołkowi, co za nim szedł.

Ksiądz się kazał ludziom rozstąpić.

— Klęknijcie tu — powiada do Smasia. Kląkł Smaś.

— Ja was haw nie zabawiem długo — powiada — bo tu widzem kieloro ludzi. Już mię to kumoski zucyły, jakie to

te grzyhy, a ja ik haw nie bedem miał korzec ani ćwierć. Lem słuhajcie.

Kraść-ek krad, alejek wse hudobnym dał z rabunku. Niejednemu jek nogi wprawiéł, co dobrze sozrembu głowom nie dopadnie. Teli zrós. Anik ta nigda we swojej obronie nie zbijał, ba ku inéndej, po Wengrak. Bić-ek bił, alek ale nigda na słabego nie zruwał. Raz mię jedna wereda, takie to małe béło, od wojska przisło, w łeb wyciena, tok — przepytujem pięknie ik miłość duhownom — za brzuk i za kosule na garle ręcami ujon, obróciłek to nogami do góry, wstawiłek do smrecków głowom dołu i posełek. Nie tknonek się! Dzwierzęciu ja nie wyrządzał nigda, nie okalicyłek go, heba na polowacce, ale to myśliwskie prawo. Nie pokłamałek nikogo, nie zradziłek nikogo, wsejek wierności dotrzimował, cy my co ka ukradli i sowali, cy się na bitkę smówili, cy cosi kajsi. Nigdyjek towarzisów, cy przy dzielbie po rabunku, cy przy świstakak, nie ukrziwdził, jescek ze swojego dołożył, jak to biedne beło. Pić-ek pił, ale to s tego skody nijakiej nie bywało, ba jesce karcmarz zarobiéł. Zabić człowieka, to jęk zabił, ale przez potrzeby nié, ba końcem trza béło, bo się to do bitki brało, a tu, sami dobrze wiécie, zbójnik ni ma wielo casu przy rabunku. I jus nie bacem, cy ta dwok, cy trzok, bo to beło dawno. Pote mi się jus nie trefiło kiela cas. Telo na mnie tyk grzybów; mało, nie dużo.

* *

I co się nie zrobiło: wyzdrowiał Smaś. Ale już zbójeckiego rzemiosła zaniechał.

— Jesce mi nie tak to, co mi ta ten księzyk napedział, hoć fajnie se mnom ugwarzéł, o piekle mi uradziéł telo, co jaze cud radość béło słuhać, ani ta pokuta, co mi jom wsuł, a godnie ta tego beło wsute, do rozumu wjehało: jako to, cok ozdrowiał. Bo on mi ta, ten księzyk, gwarzi, gwarzi, jakie to ta diabły w tém piekle, jako duse warzom we smole, jako kléscami targajom, po klińcak włócom, a ja se myślał za ten cas: hej! seleniejako mię ta prógowało za życia, to ja się i tyk diabłów po śmierzci nie bars bojem. Nie wiem, cy som jest ciętse hłopy jako

spiscy hłopi, a przecie mię ci w rencak mieli, a wysełek. Ty ta górala, a jesce myśliwego i złodzieja, diabłami nie stras, bo on dość diasków wse uświacy. Przydzie kurniawa we wirhak, zasuje cię; z niedźwiedzie się spróguje; Luptacy abo hajduki cię przisiednom: cy nie diabły? Ale jęk se to meślał: jak mi Ty dopomozes, Panie Boże, co pozdrowiem, to jek Twój.

I ono się wej tak stało. Świstace, niedźwiedzie sadło nie zdołało nic, babskie, hłopskie cary, zamówienia, odcynienia nic, a On, Pan Bóg, zdołał. Tagek se pedział, kie mi ta ten księzyk nakazowa!, jako to Panu Bogu zbójectwo przemierzłe: pozdrowis mię, Panie Boże, jus tyz więcyl w Luptów nie pude. Nie bedem więcyl zbijał, kie się Ty w tym tak nie ciesys, ba Cię to wrodzi. Haj. Bedzies Ty se mnom dobry, tak tyś i ja s Tobom. Ja wse taki beł: kiek béł s kim zły, to nie daj Boże! Jaze mi płomienie biegały po ręcak. Kiek zaś s kim béł dobry abo my udobrowali ze sobom, pojednali się: to u mnie jedno słowo, tak jako i u Niego, hań w górze, nad obłoke.